



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Maria Kozłowska

Mój wojenny kalejdoskop

Takim swoistym kalejdoskopem jest ludzka pamięć. Nieraz przypadkowa barwa, dźwięk, smak, powodują że mechanizm zaczyna działać. Obrazy układają się w motywy i tworzą całość. Potem zmieniają się, nabierają barw i tak w nieskończoność...

Moja pamięć po latach odtwarza sceny widziane oczami dziecka, chociaż nie zawsze są one ułożone chronologicznie. Ciężkie wojenne dni stałe są dla mnie żywe – zarówno dzięki relacjom rodziny, jak i dzięki temu, że były jedyną znaną wówczas rzeczywistością. O istnieniu innej kilkulatek przecież nie mógł wiedzieć.

Często myśląc o swoim życiu czuję konieczność, wręcz moralny nakaz dziękowania – Bogu za opatrność, rodzicom za troskę i heroiczną opiekę, znanym i nieznanym ludziom za odwagę niesienia pomocy, za człowieczeństwo. Dziękowania po prostu za życie.

Zdaję sobie sprawę, że to co było udziałem mojego dzieciństwa jest kroplą w morzu cierpienia starszych, którzy boleśniej, już ze świadomością istnienia przeżywali mroczny czas, nieraz „z głową na karabinie”. Chylę czoło przed tymi, którzy zginęli, byli na wygnaniu, którym odebrano rodziców. Przed wszystkimi, których uczono, że nie ma litości ani miłości...

Urodziłam się w mroźną, grudniową noc 1940 roku, w jednym z domów przy ulicy Stanisława Augusta na Pradze. Byłam trzecim dzieckiem moich rodziców. Najważniejszym faktem było to, że rodzice byli przy nas – przy dzieciach. Ojciec – sanitariusz, ranny w kampanii wrześniowej, przebywał w domu, lecząc chore, przestrzelone na froncie nogi. Mama z Babcią musiały wiele się natrudzić, aby utrzymać dzieci przy życiu. Słowa wdzięczności należą się też lekarce, która za własne pieniądze kupowała dla podopiecznych maluchów mięso, kości, owoce, leki.

Na Pradze było w miarę spokojnie, ale akcja wysiedlania mieszkańców trwała bez przerwy. Tak też było przy ulicy Stanisława Augusta. Krzyki, walenie kolbami w drzwi i groźne „raus” obudziły pewnego ranka mieszkańców. Do naszych drzwi też „wszedł” w podobny sposób niemiecki żołnierz. I stało się coś nieoczekiwanego. Ten potężnie zbudowany mężczyzna, widząc z jakim „przeciwnikiem” przyszło mu walczyć (trójce dzieci, kobieta, inwalida w gipsie i o kulach) – coś tam ukradkiem zaczął przecierać pod okularami (być może łzę). Wyjąwszy portfel długo w nim czegoś szukał. Wreszcie znalazł i podsunął mojej Mamie do obejrzenia fotografię przedstawiającą podobną rodzinę. Tyle, że w innej, bo radosnej sytuacji, w czas pokoju. I ten „wróg” wycofał się do drzwi. Pozostawił nas w domu, uprzednio nakazawszy ciszę. Kim byłeś bezimienny wrogu? Myślę, że na pewno synem, mężem, ojcem, po prostu – Człowiekiem.

W miarę upływu czasu wojna dawała się we znaki na Pradze w takim prawie stopniu jak po lewej stronie Wisły. Najgorsze były chyba naloty: przerażający ryk bomb, wybuchy, potem płacz, krzyki, jęki. Później na podwórzach pojawiały się krzyże. Na pospiesznie usypanych mogiłach, gdzieś w bramie, stały zakrwawione nosze – zginął dozorca sąsiedniego domu. Dalej w bramie gejzery wody buchające z roztrzaskanego wodociągu. Czy to mało dla oczu dziecka?

Po tak dramatycznych przejściach przy ulicy Stanisława Augusta, rodzice postanowili przenieść się gdzie indziej. Ale gdzie? Mieszkanie Babci nie istniało. Bomba zapalająca obróciła dom w rumowisko. Udało się znaleźć lokum blisko szkoły, w której był obóz przejściowy dla wywożonych do Niemiec.

Sytuacja prażan stawała się coraz gorsza. Wzmoczone naloty, rozrywające się pociski tzw. „krowy”, łapanki, dziesiątkowanie ludzi w odwecie za akcje sabotażowe – to była prawie codzienność. W kilka dni po zastrzeleniu folksdojczy w fabryce „Wedla”, Niemcy urządzili łapankę przy ulicy Zamoyskiego. Mama właśnie szła ze mną na rękę do domu i... o zgrozo – znalazła się w kordonie żołdaków, pchających swe ofiary do samochodów na pewną śmierć. Pierwszą myślą mojej Matki była decyzja, żeby próbować ucieczki. Odwróciła się z energią zupełnie nieznaną sobie w stronę popychającego żołnierza. W ułamku sekundy zobaczyła młodą twarz z rudym zarostem i niebieskie, zgaszone oczy, pełne bólu i jakby przeprasające. Moment zawahania – kolba wzniesiona do ciosu znieruchomiała opodal głowy. Odsunął się o krok i przepuścił swą ofiarę. Ale czy nie strzeli? Wydawało się, że mijają wieki. Nie strzelił! Matce, wówczas trzydziestoletniej kobiecie, przybyło po tym zdarzeniu siwych włosów. Wiedziała jednak odtąd, że nawet w czasie wojny można pozostać człowiekiem, jeśli się nim było przedtem, że chyba dla Polaków też nie wszystko stracone, skoro wróg się waha i choć na chwilę ulega refleksji.

Takiego szczęścia nie miał Brat Mamy, zabrany w teźże łapance i wywieziony do obozu, w głąb Niemiec. Rozpacz w rodzinie była ogromna do momentu, gdy przyszła wiadomość, że żyje, pracuje u bauera w Essen.

Znowu kilka tygodni spokoju. Ciepłe dni pozwoliły na otwieranie okien. Siedziałam z Bratem na parapecie, zajadając się grubą pajdą razowego, kartkowego chleba, umoczonego w roztopionej słoninie (Babci wspaniałe zdobycze). Aż tu nagle z przerażającym świstem runął pocisk na nasze podwórko. Podmuch zmiótł nas na podłogę, ciało raniły odłamki szyb i fragmenty futryn. Przerażeni i pokaleczeni uciekałmy do piwnicy w nadziei ratunku i jakiegoś bezpieczeństwa, chociaż to często okazywało się pułapką, tak jak dla moich krewnych z Podwala pogrzebanych żywcem w piwnicznych ruinach.

Dzieciństwo – to już pamiętane – kojarzy mi się z piwnicami z czerwonej cegły, pajęczynami, szczurami, mnóstwem myszy, tak jakby to było normalne życie. A to było życie ludzi podziemnych. Ale przynajmniej była cisza. Cisza przerywana wspólną modlitwą różańcową, która tak bardzo kołała i dawała poczucie bezpieczeństwa. Tylko cienie pełzające w blasku świecy wydobywały z czerwoności murów jakieś straszidła, pobudzały dziecięcą wyobraźnię.

Potem, po latach, w dojrzałym życiu nigdy nie znosiłam piwnic i zamkniętych pomieszczeń. Można pomyśleć – klaustrofobia. Nie to tylko, a może przede wszystkim piętno przeżyć z dzieciństwa.

Dzieci wszędzie lubią psocić. Tak było i z nami. Kiedy starsi spuścili nas z oka, wymykaliśmy się ku słońcu na podwórko. Tam zawsze coś ciekawego się działo. A to kocica, liżąc pielęgnowała swoje jeszcze ślepe kocięta, a to psu Reksowi trzeba było owinąć poszarpaną odłamkiem łapę... Naszym dziecięcym prawem była też zabawa. Ale w naszym przypadku była ona niesamowita, przerażająca – w zabijanie, łapanki. Ten model zabaw przetrwał niemal do lat pięćdziesiątych.

Dziecięce psoty przerwane zostały na pewien czas, gdy skryci za wielkim, murowanym śmietnikiem czatowaliśmy na „niby czołg”, żeby rzucić weń granat. Wtem zawył znanym rykiem „krowy”, gruchnęło. Po chwili ocknęliśmy się półprzytomni, uratowani dzięki masywnemu śmietnikowi. Gdy opadła ziemia, zobaczyliśmy ogromny lej. Zamiast uciekać do schronu musieliśmy sprawdzić, co się wokół działo. Tego widoku nic nigdy nie wymaże z pamięci. Oto poszarpany tułów kobiety, a obok, o kilka metrów – głowa. Dalej rozerwany na strzępy koń. Po tym zdarzeniu już rzadko rodzice spuszczały nas z pola widzenia.

Kolejny obraz mojego wojennego kalejdoskopu kojarzy mi się z ograniczeniem wolności. Sprzymierzone wojska zajęły Pragę, rekwirując mieszkania lub ich część. Tak było u nas. Obcy żołnierz zlitował się i zajmwszy pokój pozostawił sześcioosobowej rodzinie kuchnię. Już nie było mowy nawet o namiastce normalnego życia.

Dokuczalo zimno i brak żywności. Do dziś pamiętam zapach skórek od chleba, których torebkę Mama kupiła za pierścionek zareczynowy.

Powstańcza Warszawa dogorywała, naloty stały się codziennością. Pewnego dnia Ojciec, wzięwszy mnie na rękę, zwrócił moją uwagę na czerwono-burą lunę na niebie i nakazał, abym zapamiętała ten widok, gdyż to „umiera Warszawa”. Wówczas jeszcze nie wiedziałam co to znaczy, ale obraz pozostał w pamięci.

Nasi „lokatorzy” porabiali wszystkie meble na opał. Nie było już ani stołu, ani krzeseł, w czeluści pieca znikła też zabytkowa komoda. Mama była smutna i przygnębiona z powodu takiego barbarzyństwa i mimo protestów Ojca spakowała skromne tobołki. Przygodną furką mleczarza z trojgiem dzieci

i starą Matką wyjechała na wieś, w nieznane. Wtedy rozpoczął się nasz exodus. Szosą na Mińsk Mazowiecki uciekało mnóstwo ludzi, opuszczając dogorywającą Warszawę. Było tłoczno – wozy, furmanki, platformy wyladowane dobytkiem i ludźmi posuwały się naprzód w żółwym tempie. Nagle pojawiły się nad nami samoloty, pikując nad głowami. Ludzie, krzyżąc uciekali w pobliskie lasy. My nie zdążyliśmy wyskoczyć, gdyż koń poniósł, koło od fury odpadło i za chwilę leżeliśmy w rowie. Samolotowy karabin maszynowy szczekał straszliwie, siejąc wokół grozę. Ocaliliśmy cudem, a podróży mieliśmy dosyć. Pieszno wędrowaliśmy jeszcze kilka kilometrów, aż doszliśmy do wsi. Tam znaleźliśmy kąt do spania w sionce domostwa chyba dość zamożnych gospodarzy, którzy jednak nie byli zbyt przychylni przybyszom.

Mróz dokuczał niesamowicie. Woda w kuble zamarzała. Mama była zrozpaczona. Długo nie miała gdzie zagrzać wody do picia dla dzieci kartofli kazano sobie ukopać z ziemianki, przy zmarzniętej ziemi. Na domiar złego Mama dość nieporadnie czerpiąc wodę, utopiła wiadro. To było niewybaczalnym błędem. Błędem było także uciekanie z powstańczej Warszawy i szukanie pomocy na wsi. Dopiero po kilku dniach znalazła się wielodzietna rodzina, która nas przyjęła jak swoich, wpuszczając do chaty, dając ciepłą strawę i spanie pod pierzyną. Nieznani dobrzy, serdeczni, choć biedni ludzie – dziękuję Wam.

18 stycznia 1945 roku Mama i Babcia postanowiły wracać do stolicy. Wynajętą furką, obdarzeni szczodrze przez naszą życzliwą gospodynię, wyruszyliśmy rankiem w drogę. To, co pamiętam z naszego powrotu, tworzy konglomerat ognia, dymu, gruzów, ruin, warkotu, chrzęstu i... zimna. Dopiero późną nocą dotarliśmy na Pragę, do domu, który ocalał, chociaż odłamki pocisków wryły na nim swe piętno. Tu zastałyśmy Ojca, który pilnował mieszkania przed grabieżą. Ostatni obraz tego mojego wojennego kalejdoskopu ma barwy jasne: przeżyliśmy mieliśmy dom, wojna się skończyła. Zaczęły się powroty...